

Jednookie dziennikarstwo

10 września 2024

Dzisiejsze dziennikarstwo staje się kpina z głoszonych przez jego przedstawicieli wartości. Proces degradacji nie zaczął się wczoraj, ani nawet przedwczoraj i ma głębsze przyczyny niż tylko prekaryzacja pracy, czy mobbing na co dzień dotyczący dziennikarskiego proletariatu.

Ostatniego dnia lipca wystrzelona z drona izraelska rakietą precyzyjnie trafiła w oznakowany samochód, w którym jechali dziennikarz al-Dżaziry Ismail al-Ghuol i jego kamerzysta Rami al-Rifi. Dwudziestosześcioletniemu al-Ghoułowi rakietą dosłownie ścięła głowę, a podmuch jej wybuchu zabił al-Rifiego i przejeżdżającego obok na rowerze siedemnastolatka Chalida al-Shawę.

Wydarzenie to nie było czymś wyjątkowym. Od 7 października zeszłego roku do zamordowania al-Ghoula wojsko izraelskie zabiło już co najmniej 113 palestyńskich dziennikarzy. Niektórych z nich pociski uśmierciły we własnych domach, niektórych wraz z rodzinami. Wielu innym zamordowano bliskich, tylko po to, aby ich uciszyć lub skłonić do wyjazdu. Jakkolwiek brzmi to przerażająco, zabijanie dziennikarzy palestyńskich spowszedniało. Spowszedniała też zachodnia reakcja na nie – a ściślej brak reakcji.

W Polsce opiniotwórcze media milczą jak zaklęte na temat ataków na dziennikarzy w Gazie. I nie zmienia tego faktu ani publikacja listu otwartego w ich obronie jesienią zeszłego roku, ani kilka pociętych przez redakcje artykułów na ten temat. Parę wyjątków w ciągu 11 miesięcy, to tyle, co nic. Nie wystarczy nawet, by uspokoić sumienie tych, którzy jeszcze odczuwają jakieś wyrzuty. Obojętność naszych dziennikarzy na rzeź ich kolegów i koleżanek w Gazie byłaby może nieco mniej odpychająca, gdyby nie towarzyszyły jej gromkie apele i głosy moralnego oburzenia z powodu represji wobec dziennikarzy w

innych częściach świata. Na przykład w Białorusi.

Ta rażąca dysproporcja mówi więcej o stanie tego, co jeszcze niedawno miało pretensję do nazywania się czwartą władzą polskiej demokracji niż demaskowanie wyzysku i śmieciowego charakteru pracy w największych mediach. Podobnie należy odczytać fakt, że żadne z autorytatywnych środowisk i organizacji dziennikarskich w naszym kraju nie zabrało nigdy jednoznacznie głosu w sprawie prześladowania Juliana Assange'a. Wypuszczony niedawno na wolność – po ponad dekadzie aresztu domowego i więzienia – australijski dziennikarz zawinił tym, że między 2006 a 2010 r., wraz z grupą swoich współpracowników zwanych „WikiLeaks”, dostarczył wielkim mediom światowym materiałów na temat zbrodni wojennych popełnianych przez amerykańskich okupantów w Iraku i Afganistanie, ale także łamania praw człowieka, przekrętów finansowych, konfliktów interesów, korupcji na całym świecie. I znowu obojętność na sprawę Assange'a – oraz na to wszystko, co ona mówi o zagrożeniu dla wolności słowa we współczesnym świecie – jaskrawo kontrastuje z troską polskiego dziennikarstwa o te same wartości, ale tylko w kilku konkretnych miejscach, np. w Iranie. Dlaczego akurat tam? Być może w odpowiedzi pomocny byłby fakt, że lista miejsc, w których los dziennikarzy budzi zainteresowanie naszych żurnalistów, pokrywa się niemal z listą krajów uznanych za wrogie przez Departament Stanu USA.

Czy to wyjaśnia, dlaczego dawanie świadectwa zbrodniom popełnianych w Gazie i ujawnianie prawdy o zbrodniach w Iraku nigdy nie zasłużyło na uznanie ze strony głównych mediów w Polsce, a zawodowa solidarność zupełnie w tych przypadkach zawodzi? Jeśli tak, oznaczałoby to, że kwiat polskiego dziennikarstwa już dawno zrezygnował z uniwersalistycznych ambicji.

Skądinąd postawa ta wpisuje się w tendencję globalną. Przełomem była tu chyba wojna w Iraku w 2003 r., gdy armia amerykańska postanowiła ukrócić dziennikarską samowolę w

pokazywaniu okrucieństw inwazji i podporządkować korespondentów dowództwom jednostek wojskowych, tak żeby produkowali tylko obrazy wojny słusznej, sterylnej i bezbolesnej. Wywołało to wtedy głośny i po części skuteczny opór mediów zachodnich (choć raczej nie polskich, bo tu komunikaty wojsk okupacyjnych przyjmowano z należytym szacunkiem). Od tego momentu jednak zaczęła się erozja niezależności, której sprzyjały procesy koncentracji mediów w rękach wielkich korporacji, zawsze przecież jakoś powiązanych z państwami i ich sektorami bezpieczeństwa. Z kolei po akcji WikiLeaks także wielkie tytuły takie jak Guardian, które opublikowały materiały przekazane przez grupę Assange'a, znalazły się na celowniku kapitału i agencji państwowych, co doprowadziło do ograniczenia swobody ich działania i odejścia wielu wybitnych dziennikarzy (w tym naczelnego „Guardiana” Alana Rusbridgera). Innych wyrzucono później w ramach różnych oszczędności i finansowych restrukturyzacji, likwidacji działów i odchudzania objętości. To akurat dobrze znamy z własnego podwórka, bo niedoścignionym przykładem tej medialnej anoreksji pozostaje Gazeta Wyborcza.

Tak oto budzimy się w świecie mediów zarazem korporacyjnych i zaangażowanych. W świecie moralizatorskiej retoryki będącej symptomem głębokiej demoralizacji. Bo jak inaczej określić systematyczne rzucanie wielkich słów w jednych sprawach i przymykanie oka na inne, jak nazwać wybiórczą solidarność i krytycyzm skierowany tylko w jedną stronę? Czym wreszcie są media i zatrudnieni w nich dziennikarze, jeśli interesują je i ich tylko niektóre cierpienia, niektóre prześladowania, niektóre niesprawiedliwości i niektóre pogwałcenia praw człowieka? Czy aby nie zasługują na miano zwykłych propagandzistów?

Autorstwo: Przemysław Wielgosz

Źródło: [„Le Monde Diplomatique – edycja polska”](#), [Lewica.pl](#)